

Spisowy stres

Trwający spis powszechny, oprócz absolutnie uzasadnionego celu statystycznego, jest dla wielu z nas okolicznością wymagającą określenia się i to kwestii wręcz fundamentalnej, a mianowicie narodowości i języka ojczystego.

My - mieszkańcy Śląska, doświadczamy potrzeby narodowego określenia się niemal w każdym pokoleniu. Śląsk, czyli region zaczynający się na południu, w Czechach za Olomoucem, a kończący się na zachodzie, w Niemczech za Görlitz, podzielony pomiędzy kilka państw, zamieszkały przez ludzi mówiących wieloma językami, jest miejscem na ziemi dla ludzi, którym wielokrotnie w historii zadawano pytania: kim jesteś i do jakiego państwa ci bliżej?

Nasi dziadkowie opowiadali się podczas Plebiscytu, pomiędzy Powstaniem Śląskimi. Nasi rodzice musieli to robić, kiedy podsuwano im - podczas II wojny światowej – *volkslisty*. Mojemu pokoleniu we wczesnym PRL-u „radzono”, abyśmy poszukali nazwiska mniej niemieckiego, czy imion bardziej polskich. Teraz znowu mamy się określić – tak, jakby nie było dość określania się poprzez realne życie, w którym ani przez chwilę nie zastanawiamy się w swoim postępowaniu nad motywacjami narodowymi.

Tu, na Śląsku, motywacją jest pracowitość, obowiązkowość, czy etyka o korzeniach katolickich czy protestanckich - to są wektory postępowania, dla których nie trzeba paszportów a wystarczy zwyczajna przyzwoitość. To ciągle opowiadanie się buduje w nas niechęć dla polityki i szacunek dla kompetencji, ze wszystkimi skutkami dla naszej znikomej szansy na zajmowanie funkcji czy urzędów, zwłaszcza tych ważniejszych.

Rezultat jest taki, że chociażby współcześnie o losach a właściwie likwidacji „najbardziej śląskiego ze wszystkich śląskich zawodów”, czyli górnictwa, decydują ludzie, dla których Śląsk i Zagłębie są odległą krainą, chociaż w tym samym kraju. Esencją stosunku władz wszelkiej politycznej maści do ludzi tu urodzonych są opinie o nielojalnych autochtonach, czy ukrytych opcjach. Można tak brnąć w rozmyślenia, jednak bez szans na zmianę opinii o nas i to bez względu na historyczne doświadczenia Powstań Śląskich,

kilkudziesięciu tysięcy Ślązaków internowanych w Ostaszku, czy kilkaset tysięcy ludzi, którzy wybierając najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze zawody świata, służyli Polsce, oddając Jej zdrowie a często i życie.

Jedno jest dla mnie oczywiste a mianowicie to, że nawet milionowa rzesza zadeklarowanych w spisie powszechnym Ślązaków, nie zbudują poczucia siły i tożsamości Ślązaków, ale dostarczy pretekstu dla dalszej stygmatyzacji.

Żeby odejść od tej posępnej retoryki, wspomnę sytuację tyle zabawną, ile symboliczną. Jest rok 1995, w rządzie Józefa Oleksego organizuje się nowe kierownictwo Ministerstwa Przemysłu i Handlu w składzie ekstremalnie nietypowym, bo śląskim a mianowicie: Minister - Szef Resortu - Ścierański z Łędzin, Sekretarz Stanu, czyli ja - z Zabrze, Podsekretarz Stanu - Gabryś z Mysłowic i Soroka z Bytomia. Na taki skład personalny kierownictwa reakcja niemal całego składu kadr Ministerstwa była majstersztykiem warszawskiej zdolności do asymilacji. Metodę wybrali prostą, bowiem prześcigali się w przywoływaniu swoich śląskich przodków czy innych „dowodów” na pro-śląskie zasługi i związki. Byli nawet tacy, którzy zaczęli się popisywać gwarą i wtedy Minister Gabryś odpowiedział językowy „test na śląskość”. Poradził: *jak ktoś z pracowników przyjdzie do ciebie i będzie się powoływał na śląskie korzenie, zrób mu test na rozumienie gwary, aby przetłumaczył zdanie „klupać kloprym lojfer na klopszandze”*. W przypływie dobrego humoru zapytałem o polską wersję tego zdania jednego z kolegów. Ku mojemu zaskoczeniu przetłumaczył perfekcyjnie: „trzepać trzepaczką chodnik na trzepaku”. Zaskoczony rezultatem, ponowiłem próbę i zapytałem, czy wie, co znaczy określenie „gizd”? Na co pytany, idealną gwarą, odpowiedział: „gizd to jeszcze nie chachor, ale już s nim jest kupa łostudy!”. Czy to nie łagodniejsza deklaracja śląkości? Po co nam ten stres z deklaracjami, skoro każdy z nas wie kim jest?

Jerzy Markowski